



MICHAŁ SOBESKI

ŻEROMSKIEGO
„DZIEJE GRZECHU”



WARSZAWA — 1908.

E. WENDE i S^{ka} (T. HIŻ i A. TURKUŁ)

Krakowskie-Przedmieście 9.

Żelazny
semant. Katedra 7P

ŻEROMSKIEGO
„DZIEJE GRZECHU”

Żelazny
7P

MICHAŁ SOBESKI

ŻEROMSKIEGO
„DZIEJE GRZECHU”



WARSZAWA — 1908.

E. WENDE i S^{ka} (T. HIŻ i A. TURKUŁ)

Krakowskie-Przedmieście 9.



112277

I.

Habent sua fata libelli . . . lecz są też książki będące same przeznaczeniem, będące jak los: ślepe a wszystkowidzące, głuche a wszystkosłyszające, dziecięco naiwne a starczo mądre, tkliwe jak gołębice a chytre jak węże.

Gdy kamień silnie rzucony pionowo z procy wraca ze świstem do miejsca, od którego lot swój rozpoczął i wwierca się z jękiem w ziemię — nikogo to nie zadziwia.

Lecz gdy zjawia się książka, puszczająca w wściekły bieg het pod niebiosa konglomerat uczuć ludzkich i gdy niezwykły pocisk ten wraca z cichych sfer niebiańskich i z złowrogim hukiem wpada w rodzime bagno u stóp naszych, wtedy ludzie się dziwią. Gdy nadto książka na mocy królewskiej swej swobody kładzie tuż obok czarnych, wzburzonych chmur ciche, słodkie tęcze, gdy obok jęków bóli porodu, dzikich a głupich, śpiewa ciche dzieje bukieciku fijołków, który był między obojgiem ust i na piersiach, w których serce święte wiecznie bije — wtedy zadziwienie przechodzi w osłupienie . . .

Po cienistym gaju Akademosy, w samym sercu Aten, przechadzał się Platon z uczniami swymi i mówił: Kto nie obznajmiony z geometrją, niechaj tu nie przychodzi. Doskonałemi kulami są ciała niebieskie, ziemia składa się z kostek, ogień z piramid, powietrze z oktaedrów a woda z ikosaedrów. Harmonijność geometryczna przenika wszystko, co postrzegacie, jeżeli jeno trafnie postrzegacie. A przecież objawiłem wam już, że wszystko co wiemy, zawdzięczamy odwiecznej pamięci duszy naszej, która przypomina sobie istotę rzeczy z czasów, gdy ją widziała czystą i nieskażoną w świecie idei. Jeżeli już tutaj w tym przyćmionym przez zmysły nasze świecie dostrzegalna jest harmonijność, jakaż dopiero harmonja musi panować w świecie idei. Więc koniecznem jest, że tam muszą stać u szczytów idee piękna, dobra, promienne jak figury geometryczne, którym podwładne są wszelkie inne idee, a więc także idee zła i brzydoty.

Z powodu niedoskonałości naszego postrzegania rzucają się w oczy w zmysłowym świecie zjawisk przedewszystkiem zło i brzydota. Zaś dusza nasza nieśmiertelna, kołysana słodkimi wspomnieniami z krainy czystych idei, czuje, że zło i brzydota ją więżą, że nie czepiają się jej istoty, i tęskni tedy do swej prawdziwej ojczyzny, do piękna i dobra. I wiemy, że wreszcie do niej powraca. Piękno i dobro są więc istotą rzeczy. A rozumowanie moje chyba jasnym i koniecznem jest jak prawidła pytagorasowe, więc kto nie obznajmiony z geometrją niechaj do mnie nie przychodzi.

Dwa tysiące lat później siedział Schopenhauer w swej samotnej frankfurckiej pracowni. Usta wykrzywiły mu się bolesnym grymasem, bo złorzeczył

myślom swym i mądrości swej: O, jak ja was nie-
nawidzę nikczemne plemię optymistów, którzy chli-
picie blaski słoneczne, grające na powierzchni
oceanu — bytu. Boć duszyczki wasze za wiotkie, za
roztkliwione, by pograżyć się mogły choć chwil kilka
w przepastnych głębiach, jak ja to uczyniłem, by
przetrzymać mogły grozę czychających zewsząd
ośmiornic, wyległych z bólu i brzydoty. Przecież
udowodniłem wam jasno i niezbitcie, że kosmiczna
wola, będąca jądrem rzeczy, jest głuchą, ślepą, irracjo-
nalną, poprostu głupią, a nadto pełną żądz i chuci.
Chce gwałtem życia, rwie się do niego i stara się
przy niem utrzymać za jakąbądź cenę, mimo że po-
twierdzać życie znaczy tyle, co ból potęgować i wzma-
gać samochcąc swe cierpienie. Miast zabijać w sobie
wolę do życia, wy ją co krok rozbudzacie i podżega-
cie. Serca wasze przywiązują się do blichtru i tande-
ty życiowej. Jesteście żądni sławy, dobrobytu, bo
zdaje wam się, że tym sposobem zgnieciecie w sobie
bezsens waszego istnienia. Doprawdy że próżno żyli
Budda, Aeschylus, Sofokles, Eurypides i Szekspir.
Prawie każdym słowem mówią wam, że lepiejby wam
było, gdybyście się wogóle nie byli urodzili. Zaś wy
nietylko żyć chcecie, lecz nadto wprost z zbrodniczą
lekkomyślnością plenicie nowe życie. Lecz też wza-
mian życie was ssie i wami miota, mimo całej waszej
wyrafinowanej odporności. Jedyna rada dla was:
precz z wami z życia. Boć jesteście zbyt chuderławi
na duchu, by wyrzec się wszystkiego, wieść żywot
pustelniczy na Tebaidzie, lub zabić w sobie wszelkie
żądze, jak święci wyznawcy Gottamo Buddy. A tym
dalej wam do dostojeństwa mego geniuszu, który ży-
cie zmogłem, bo przejrzałem je na wylot. Dwojaka

jest droga wyswabadzająca z pod klątwy bytu. Albo hartem uczucia otrząsnąć się z wszelkich zwodniczych rozkoszy życiowych — lecz na to jesteście za słabi. Albo djalektyczną teźyzną myśli przejrzeć wszelkie nikczemności woli kosmicznej, i wywiódłszy more geometrico ich konieczność, pogardzać niemi — lecz na to jesteście za głupi. Z grzechu jesteście poczęci boć jedynie grzeszny bezrozum mógł zawinić wasze, istnienie. A grzech ten jest nieodpuszczalny, gdyż wyłącznie ku jego potęgowaniu i rozplenianiu zmierzają wszelkie wasze żądze i chucie.

Między dwoma potężnymi biegunami kołysze się myśl ludzka. To wywyższa się ku świetlanej metafizyce dobra i piękna, to zagłębia się w mrokach grzechu i brzydoty. A wysoko ponad wszystkim ludzkiem wyciągają do siebie dłonie Platon i Schopenhauer. Lecz na szczytach gnieźdzą się tylko orły. Zaś szare, biedne, nękanie plemię ludzkie pcha swój głąz syzyfowy ku jasnym szczytom platońskim, by bodaj w pół drogi runąć z powrotem ku czarnym przepaściom schopenhauerowskim. Dusze czyste, przezrocze wierzą, że istnieje absolutny świat idei, nieskończenie piękny i dobry, i tęsknią za tym światem, bo odczuwają w nim prawdziwą swą ojczyznę i odżywczy grunt dla swych najostatniejszych korzeni. Choć życie je pozornie paczy i bruka, mimo to pozostają proste i niepokalane w istocie swej. A jasnowidzące to odczucie tej okrutnej w swym fatalizmie dysharmonji jest ich tragicznem przekleństwem.

Zaś dusze z głębi istoty swej zbrukane i potępione, nie chcą, nie mogą wydostać się z bagna, w którym grzęzną; bo odwiecznej nocy wyklętych mo-

czarów tych nie rozprasza żadna Stella Matutina, a w ciemnościach przesuwa się jeno raz łabędź biały, raz czarny...

II.

Losy Ewy Pobratyńskiej, która rosła sobie quasi *oliva speciosa in campis*, nie były jako losy białej lilii polnej, którą wichur nagina i łamie; ani jako losy piśklecia, wypadłego na rolę z bezpiecznego gniazdka. Boć kwiat i ptaszę niweczy wichur-życie, ulegają, bo są za słabe. Zaś Ewa zmarniała, bo była zbyt silną, zbyt posażną w dostojność duszy, bo strojną była w mądrość, piękność i dobroć. W świecie idei byłoby jej udziałem królestwo i szczytne panowanie. Zaś tu, na tym tak dowcipnie zwanym najlepszym ze światów, zeszła do najbiedniejszych między biednymi.

Silna i dostojna dusza Ewy była za słabą i za czystą, by sprostać nikczemnościom życia. Bo nikczemność jedynie tą samą bronią zmódcz można; więc lepiej być słabym i płytkim, bo wtedy łatwiej stać się nikczemnym. Siła i dostojność są przekleństwem, a posażny w nie człowiek jest igraszką dla bogów olimpijskich, którzy Prometeusza przykuli do skały, ku większej swej uciechy; którzy Edypa, rozwiązującego zagadkę Sfinksa, pogrążyli w odmętach okrucieństwa, ku większej swej chwale.

Ambra i mirra prastarych katedr gotyckich woniała dusza Ewy, pełna wspomnień z swej praojczyzny, z krainy piękna, dobra i mądrości. Więc szła naprzeciw życiu z tragicznym wdziękiem, z bolesną prostotą owej dzieciny, którą napotkał w widzeniu

św. Augustyn, jak z miseczką w drobnych rączynach chciała przelać ocean w inne łożysko. Słodki czar podświadomych wspomnień budził w niej myśli ulotne „dziwnie szmerzące“, bo podświadomie jej przybyłe, a właśnie dlatego patrzące „w ziarno rzeczy“ i „nieubłagane“. Więc choć jeszcze cicho żyła w domu rodzicielskim, w brzasku swej młodości, choć huczący ocean życia nie był jeszcze nawet stóp jej dosięgnął — to już wtedy budził się w niej odwieczny bunt anioła strąconego z rajy, instynktowy strach przed tajemniczymi drogami własnego anielstwa: „Bądźcie pozdrowieni upadli, grzeszni, obarczeni przez zbrodnie. Pan z wami, zbrodniarze. Niechaj się dusze wasze uciszą. Niech sen zejdzie na wasze powieki. Wytchnijcie w spokoju, zbójcy i mordercy, wyrzuceni z rodu ludzkiego“.

Piękną, dobrą i mądrą była Ewa.

Piękną była, lecz nie ową lakierowaną urodą manekinów woskowych, które swemi krzykliwymi wdziękami potęgują wstrętny zgiełk rynków życia, gdzie urodę kładzie się na wagę jak cielecinę. Jeno piękną była trwożliwą krasą dzikiej róży, która ukryta, rośnie w trawie i pokrzywach i nie pachnie nikomu krom siebie. Piękną była lękliwie, bo czuła, że powierzonym jej był największy skarb, który poniesiony na szerokie gościńce wydeptane przez mrowie ludzkie, musi wzniecić walki i pożary.

Dobrą była dobrocią promieni słonecznych, wygrzewających pieszczotliwie białe mury wapienne, dla wiotkich powoi winogrodu. Dobroci swej nie niosła na targowiska, gdzie świecą się orgje hipokryzji, ani nie tarzała jej w ściekach hałaśliwej filantropji, zatrzymującej przechodniów, by im krzyczeć

w uszy: przystańcie i popatrzcie się na naszą dobroć! Jeno wezbrana była dobrocią, wstydliwą, która się ciemnym rumieńcem oblewa nie za brak dobroci u innych, lecz za nadmiar jej: „jakże tu żyć chodząc w sukniach pięknych, co osłaniają ciało aż do piersi, pomiędzy łachmany żebraków? Jakże można dawać jałmużnę, brud ręki swej, na pożywienie bratu— bliźniemu?“

Z jej dobroci wypływała jej mądrość. Bowiem jedynie prawdziwie dobrym jest człowiek dobry dla dobra samego, więc świadomy swej dobroci. Zaś świadomym swej dobroci, swej wstydlivej dobroci, może być tylko człowiek mądry, czyli że człowiek dobry jest także mądry. Dobroć z nieświadomości jest liczmanem wyświechtanym przez ciągłe używanie, łudzającym co do swej prawdziwej istoty jedynie głupich.

Tak wyposażona stanęła Ewa przed tajemniczem obliczem życia — i zadrżała. Spostrzegła bowiem, że piękność jej nie wionęła prostym słupem ku niebu jak wonności z kadzielnic kościelnych, jeno budziła słodki zamęt i rozkoszne roztargnienie u mężczyzn. Dobroć jej napotykała wszędzie natarczywą obecność grzechu, który wślizgiwał się chytrze do serca, ubierając się w uświęcone szaty miłości ku ojcu. Poczwała: „że zagłębiając się w myślach o ojcu popadnie w grzech, że już się grzechowi oddaje, płacząc nad jego dolą“. Lecz najwięcej trwożyła jasnowidząca jej mądrość, oparta na granitowych podwalinach pełni poczucia swej absolutnej dobroci. Więc gdy nadmiernie gorliwy spowiednik wnosił zamęt miast ukojenia do serca jej, wydobywając truciznę ukrytą w słodczy grzechu i gdy wiódł ją do cichej przysta-

ni, do stanu owej prostoty w samym sobie, która nie dopuszcza do siebie brudu i tak dochodzi do tego co apostoł Paweł nazywa „miłością i duchem cichości“ — wtedy mądrość zerwała z jej oczu bielmo, ulepione z kłamliwej, czułościowej tysiącletniej moralności. Przejrzała, że port miłości i ducha cichości nie godny jest człowieka prawdziwie dobrego, bo jeno złudną przystanią egoizmu jest stan własnej cichości ducha wobec nędzy rozsianej po świecie, wobec męczarni i huraganu żądy, jakie znosi naprzykład morderca; jest on „niejako używaniem bogactwa, spokojem bogacza w obliczu ogromu nędzy tych, co niemają czemby płaczące dzieci nakarmić.“

Poczęła więc tulić dobroć własną w sercu swem i patrzeć *swemi* oczyma na sprawy świata; i nie odstąpiła od tego ani na krok, mimo że nawałnica wokół niej miała niebawem rozszaleć do niebываłych rozmiarów.

Tymczasem życie zrobiło pierwsze pociągnięcie na szachownicy, pociągnięcie ani głupie ani mądre, jeno takie sobie prawdziwie życiowe. Łukasz Niepołomski wynajął pokój w mieszkaniu jej rodziców, a przez duszę Ewy wionął powiew trwogi i lęku o coś obcego, co nie było z jej królestwa piękna, dobra i mądrości. Z lęku tego urodziła się „tęsknota za czemś zupełnie nieznanem, za cudnem, za strasliwem a tak bliskiem, jak bliską jest własna dusza, własne bicie serca, własny oddech.“

Pokochała Łukasza.

Łukasz całe życie dążył do tego, żeby poznawać, badać, zgłębiać. Wiedział, że człowiek się zmienia, że karząc zbrodniarza za kiedyś popełnione zbrodnie, może strącamy ze skały tarpejskiej świętego. W dłu-

gich szczerých rozmowach, prowadzonych z Ewą w parku, silnie dźwięczał motyw ten, wpierający się wąską wartką strugą w głębokie ciche jeziora jej serca. Gdzie się rozpoczyna grzech? pytało się trwożnie jej serce. Zaś: są umysły, które nie mogą nie myśleć nieskończoności i są umysły, które muszą myśleć skończoność, przynajmniej początek nieskończoności—konkludował z okrucieństwem Łukasz. Czyli że grzech się rozpoczyna, gdzie ci się żywnie podoba, lub się nie rozpoczyna gdzie ci się żywnie podoba. Radź sobie tedy, moja Ewo, bądź silną i pamiętaj, że dociekania jedynie godnem jest życie, a nie śmierć i życie po śmierci. Charaktery wielkie nigdy o śmierci nie myślą, bo nią pogardzają. Więc wyperswaduj sobie twą bolesną ciekawość.

Tak rozpoczęły się dzieje owej miłości, która dozwalała mówić jeno głosem cichym, sekretnym, niemal spiskowym, która odprawia „długie nabożeństwa wstępowania oczyma w oczy i zagłębianie się wzajem w ducha przez czarodziejskie obnażenia spojrzeń.“ Ewa, Jewe, Istność, Jasne Słonko, Błogousta, Jasnotka! Bezgrzeszna szczęśliwość czyli oszalała Sarasvati i zamykająca powieki Niżdali, dwie siostry zakochane w Krysznie, ogarnięte przez miłość wieczności. Indyjska pramądrość: Tat twam si, ja jestem ty—oszalała boleść rozczepiania jaźni i znów mistyczna za nią gonitwa maga Szems Tebrizi:

„Gdy niechcesz umrzeć, lecz trwać chcesz: zerwij ze świata
[ludem,
„Wyrzeknij się ciała i duszy i serca, wyrzeknij się z trudem
„Wyrzeknij się wiary, niewiary, zemst i umiłowań —
„Nie patrz na gwiazdy, co płyną wśród żalób i pochowań.
„Wyrzeknij się miłości — i twego istnienia.

.

„Fakirze! jeżeli Jażni jesteś miłośnikiem
„Zapomnij o mnie, idź w dale, nie pomnąc o nikim!“

(przekład *T. Micińskiego*).

W akordzie cichej tajonej przezczystej miłości zaświzczał nagle pierwszy zgrzyt. Łukasz, starający się o rozwód, wyjechał nie uprzedziwszy o tem Ewy. Z momentem tym podaną była na pastwę matki i siostry, które wyładowały teraz całą tajoną wściekłość na więzy Ewy z człowiekiem, który nie był uzyskał jeszcze rozwodu. I gdy poczęły ją kąsać, spojrzenia miotane jakby w ostatnią ulicznicę,—wtedy, stężyły w niej bolesnym odruchem wody ścinanej przez mróz jej ciche jeziora dobroci, mądrości i piękna, które dotąd były słodko szemrały jeno same sobie. Błyskawicą zrozumiała smutną mądrość łukaszową o ciągłej zmienności. Poczula na czystej swej duszy jakoby trąd klątwy, ścigający dusze przewleczone z świata absolutnie bytujących idei. Poczula, że się przeistacza, że się musi przeistoczyć — i zaśmiał się w niej szatan.

Nareszcie otwały się przed nią podwoje grzechu, owe podwoje, które dotąd oglądała z niewinną lękliwą ciekawością. Bo jakżeż mogła była obawiać się grzechu ona, co rosła prosta i bez zdrady jak biały kwiat konwalji? Lecz o dziwo, z rozwartych bram nie wypadł na nią grzech w niej, tylko grzech mimo niej. Toć to grzech stawał się jeno wokół niej: olbrzymiał grzech-głupota, podstępnie odwracający wartościowania jej krystalicznej mądrości; rozpierał się grzech-lubieżność, pęszący chucie tam, gdzie królowała jej piękność dla siebie samej, piękność-idea. Więc z pogardą strzepnęła teraz ze siebie wszystek jad, którym bryzgał na nią grzech głupoty i lubieżności

i pokochała dziko, namiętnie swój grzech, swą piękność, mądrość i dobroć. Pokochała wszystko to, czem tamci pogardzali: bezcenną wartość jakości swych uczuć, które były tak królewsko nagie i bez wstydu, że tamtym wydawały się chutliwością przyodziane i bezwstydne. I z zdwojoną ufnością modliła się: „Tak mi dopomóż Panie Boże mój! Ty jeden co wiesz prawdę. Grzech mój jest błękit, który mnie ogarnął. Kocham mój grzech w sercu leżący i nienawidzę wszystkiego, co mnie odeń odwodzi. Grzech mój jest krzywa linja rozkwitłych bzów, liljowy hymn co się w zieloną ścianę drzew tulił, gdym czekała.... Grzech mój to szelest brzozowych gałęzi, szelest niewysłowionego powabu, gdy wtedy łagodny deszcz go uciszał. Słyszac go, nie słyszałam, a teraz przyszedł na serce moje.... O mowo brzóz tamtych poranków czekania!“

Musisz zapomnieć Łukasza, bo zginiesz — charczał jej w uszy grzech-głupota. To zginę, rzucę się w ramiona pierwszemu lepszemu z ulicy — tryumfował wet za wet jej grzech-mądrość — i nawet cień nie padnie na duszę moją. Choć życie mnie zmiażdży, choć ciśnie mnie między śmiecie, to nic nie utracę z tego, com przyniosła ze sobą. Bo ja jestem silniejsza od waszego grzechu, bom posażna w grzech mego dostojęstwa.

Poczęła tedy kroczyć Ewa pełna dumy mimo tamtych, wyśpiewując słodkie melodje swego grzechu, na uciszenie upakarzającej tęsknoty za Łukaszem. Samozachowawczym instynktem wyczuła podświadomie konieczność bezwzględnej samoobrony a świadomie poczuła w sobie, uprawnienie i nęcącą ochotę do drwinek z biedy ojca, z pracy matki, z cię-

żarności siostry, z Łukasza i ze swej głupiej za nim tęsknoty. Poczęła się mścić na sobie samej, pastwić się nad swą dostojnością, tak zbyteczną i uciążliwą. Poczęła się stroić wykwintnie, subtelnie i zmysłowo. Lubowała się w najskrajniejszej potworności ulicznej, pragnęła nocami rozkoszy cielesnej z Łukaszem, grzechu tajnego, któryby złączył duszę jego z jej duszą w potępionej wieczności. Rozglądając się w sobie, z zadowoleniem stwierdzała, że dusza jej dawna dusza minioną — szatanieje.

Tak jedynie rozkazała jej mądrość wziąć odwet za okrutną krzywdę, wyrządzoną jej niezniszczalnej, wiekuistej istocie. Spodobało się życiu poharcować po Ewie — więc wet za wet upodobała sobie Ewa poharcować po życiu: drzeć pasy z tych, których głupkowate życie na jej drogę zapędzi, do wściekłości doprowadzać moralistów, rzucać skarby swego ciała i swej duszy między poniewieranych i wyklętych, a skazywać na męki niezaspokojonych pożądań gagatków życia. A choć się to wszystko mogło dziać jedynie za cenę utraty własnego portu „miłości i ducha cichości“ — to zbyt dumną była, by szukać plugawej przystani kwietyzmu, zbyt świadomie posażną była w mądrość, dobroć i piękność, by nie popróbować sił swych z siłami życia, by nie wprowadzić w szranki dostojnego grzechu swego, do walki z cuchnącym grzechem wokół siebie.

Życie, jakoby kokietując swą łaski pełną wielmożnością, zrobiło małe ustępstwo. Powiodło się Ewie i Łukaszowi widzieć się, słyszeć się i upajać się sobą chwil kilka. Lecz owe strzępy szczęścia, zdobyte przemocą, okupione udręką nocy bezsennych a pełnych upokorzeń, koszławiły nerwowym uśmiechem

usta Ewy, uśmiechem który szydził: czyż chwila ta warta była tylu mąk?—lecz który równocześnie przytwierdzał do serca: och warta ona tysiąckroć gorzszych! A z serca Łukasza odurzonego chwilą szedł do mózgu chorobliwie czujnego na djalektykę wiekuistej zmienności, cichy tajemniczy szept o zbyt wielkiem szczęściu i o zbyt nikczemnej zazdrości nieznanym a niezwalczonym bogów... Ty jesteś szczęście... szeptał z cicha w trwodze śmiertelnej.

Łukasz musiał wyjechać do Rzymu dla uzyskania rozwodu. Lecz nim zamiar wykonać zdołał, przykuła go do łoża w prowincjonalnym szpitalu walka ze śmiercią. Przestrzelono mu płuca w pojedynku z hr. Szczerbicem, który na podstawie lekkomyślnych plotek był obraził Ewę. Wtedy Ewa zatrzasnęła za sobą drzwi swego rodzinno-społecznego życia, opuściła posadę w biurze, wyłudziła od lichwiarki pieniądze i już była przy Łukaszu.

Łukasz powoli wracał do zdrowia — i na wydmuchu małej cuchnącej mieściny żydowskiej wystrzelił ku niebu tajemniczy kwiat, wszystkim wiadomy a nikomu nieznanym, korzeniami zrosły z ziemią i wszystkim ziemskim a koronę nurzający w niebie i wszystkim niebiańskim. Bo na początku była chuć i na początku był duch.

„Stworzyłeś nas Panie dla Siebie, więc nie uciszysz serce nasze, dopóki nie spocznie w Tobie“ — Ika cichym szeptem św. Augustyn na Tebaidzie. Lecz stworzyłeś nas Panie nam samym, krom Sobie. Właść w wicher oceanu dziką tęsknotę za smukłą trzcina przybrzeżną i nie dajesz mu się uciszyć, póki z słodkim szelestem nie złączy się z nią, póki nie zatraci się w niej i nie zapomni o swej burzy, o sobie. Ogłuszasz

Panie cietrzewia tokującego, że nie słyszy podstępnych kroków myśliwca. Rzucasz mirjady komet i rozbitych światów w ogniste ramiona słońc, gdzie jeno pozostaje z nich dym biały i gorętszy nad piekła Twe. Dla Siebie stworzyłeś nas Panie — lecz przyłożyłeś nam do ust czarę rozkoszy a gdy pić z niej chcemy, to wždy nam ją odwracasz, byśmy nie zapomnieli, żeś nas stworzył dla Siebie.

Gdy się Ewa oddawała Łukaszowi, wtedy oczy jej patrzyły w dal, w dal . . . bo nie uciszy się serce nasze, póki nie spocznie w Tobie.

Teraz już niema powrotu dla Ciebie, do tamtych . . . świszczało jej w uszy urągliwe, pewne zwycięstwa życie. Zaś dusza Ewy rozbrzmiewała wówczas wonnemi wspomnieniami z swej wiekuistej ojczyzny i choć myśli o przyszłości wodziły ją chyłkiem „po elipsach szału i rozpaczy,“ to dusza jej tężała pragnieniem siły śmiechu z potęgi światowej, hardziała wolą: nie sprzeniewierzyć się swej istocie i żywić prawdę, dumę i miłość aż do końca. Ty jesteś Psyche, dusza najzupełniej wyzwolona. A świat stawał się wtedy hymnem, pieśnią tworzącą, która wychwała tworzenie. Głowy stały się ukoronowane świetlistemi koronami z promieni księżycy, bo rozkosz cielesna zmywała z duszy smutek miłosny, uciszała jej niezgłębioną, wszystko z posad ruszającą muzykę. Tak . . . to . . . jest szczęście.

Łukasz dotarł wreszcie do Rzymu, a Ewa pozostała sama w mieście, w głuchem wewnętrznem milczeniu, przerywanem jeno złowrogim szelestem skrzydeł potwora, który się zbliżał powoli, lecz nieodwołalnie.

Życie nie zapomniało o Ewie . . . a ponieważ była

w ciąży, więc migotało przed jej dziką, niemal drapieżną czujnością ohydny widziadłem owej bojaźni prawa umówionego między ludźmi w ciągu wieków przeciwko ciężarnej dziewczynie. W nierozchwianą jeszcze woń bukieciku fijołków, który był między ustami i na piersiach, i owych trzech róż, które zwiędły w jedną noc smutku, lał się gęstą smugą odór ludzkiej zniewagi miotanej z całą rozkoszą i mściwą głupotą, odór niecnych dowcipów, zjadliwych a milczących spojrzeń i grubych brudnych conceptów.

Na domiar listy Łukasza z Rzymu przestały przychodzić. Wtedy życie rzuciło się z zdwojoną siłą na Ewę, dysząc zemstą: Za nic mnie mieliście, gdy chuć was omotała. Chciało wam się doświadczać zgłębiać historję przetwarzania się waszych dusz, przejścia jednej formy w inną formę. Pragnęliście w uściskach waszych zdusić mnie między sobą, przetopić się wzajemnie i połączyć się jak spłyn szlachetnych metali. Śmierci z upojenia wam się chciało, gdy w was rzucało w słodkich konwulsjach ku mej chwale i uciesze. Teraz przysła na mnie kolej. Wypędze ja ci, Ewunio, te twoje uczucia wielkości i ponoszenia ramieniem mocnego demona. Nie chciałaś mnie w upojeniu, to teraz krzyczeć za mną będziesz w śmiertelnej udręce.

Nastaly tedy na Ewę za sprawą życia najstraszniejsze chwile. Nachodziły ją „białe“ noce, noce rozpalające duszę do białości jak żelazo w ogniu hutniczym, tak że wszystkie jej pożądanja wracały uporczywie do jednej jedynej sprawy . . . do sprawy nicości. Skończyć wszystko nareszcie jednym zamachem, westchnąć do Boga i rzucić się głową na dół. Uwolnić się wreszcie od cuchnącego wokoło z drwiących pyłków powietrza cnoty obywatelskiej. Już spływała

owa jedna cicha noc, gdzie nikt nie spoliczkuje przy-
mrużeniem oczu — gdy rozdarła ją nielitościwa a sło-
dyczy pełna wieść, że Łukasz nie mógł pisywać, bo
siedział w więzieniu, że wróci, wróci... Szcherbic,
który był go ongi przestrzelił, wieść tę przyniósł.
Kojąca „sprawa nicości“ skryła się trwożna, a życie
zarżało, upojone dzikim tryumfem: Na pomoc! wołała
bowiem Ewa, szarpana bólami porodowymi.

Życie zadokumentowało swą szanowną wielmoż-
ność owym najgłępszym pod słońcem z wszystkich
aktów, aktem porodowym, będącym w swem bezsen-
sownem okrucieństwie zaiste jedynie godnem takiego
krwiożerczego błazna, jakim jest życie. (Potwierdza-
jąc wciąż siebie najłaskawiej i najbezczelniej, przy-
gważdża życie do twardych czaszek mędrców opty-
mizmu ohydną prawdę o bezsensie swych koniecz-
ności).

Ohydny bezlitosny połów w warunkach najnik-
czemniejszych, w zabójczem osamotnieniu, mile uroz-
maiconem walką z głodową śmiercią — oto szatań-
ska korona uwita z cynizmu warunków i wtłoczona
na męczeńską głowę tej, która modliła się do Boga
o dostojność swej niezniszczalnej istoty i o moc: żywić
prawdę i miłość aż do końca.

Z głuchą odwetową rozkoszą dręczonej istoty,
mszczącej swe krzywdy obuchem w brzuch oprawcy,
utopiła Ewa w kloace swój płód. Z cichym uśmie-
chem radości ocaliła dziecię swe przed gorszą kloaką,
niechybnie nań czychającą, przed życiem, pełnem mo-
ralnych wyziewów tych, którym warunki pozwalają
swą sytą zgniliznę przykrywać płaszczykiem cnoty,
tych, co mają belki w oczach a oka nie zmrużą,

tych, co kamieniują jawnogrzesznicę, a swym tajnym grzechom wnoszą złote, uświęcone pałace. e

Lecz życie nie zapominało o Ewie, teraz tym więcej nie zapominało. Już było pewne zwycięstwa, już piało z dumą koguta pyszniącego się na gnojówce swój hymn tryumfalny, o niwelacji prawdy piękna i dobra z błotem, hymn o zaciekleń przystosowywaniu wszystkiego co żyje do swych nieubłaganych warunków — lecz jeszcze nie zwyciężyło. Więc przypomniało sobie życie swą najstraszniejszą broń, wypróbowaną w tysiącletnich atawistycznych zapasach, i rozsiadłszy się wygodnie na tronie pogwałconego macierzyństwa, pchnęło w serce Ewy zbójceki nóż straszliwego żalu i okrutnej tęsknoty za dziecięciem. Przykuwało jej oczy do drzwi owego ohydneho grobu, jeżąc włosy żalem i lękiem, czy nie wypełznie stamtąd tajemnica, czy nie rzuci się na nią w postaci tych, którzy na zawołanie mają oczy rozjuszzone świątobliwym oburzeniem i „pyski pełne moralności“.

Ewa powoli wracała do sił. By umożliwić sobie powrót do Warszawy i nie umrzeć z głodu, wzięła — mówi się też: ukradła — parę rubli żydowinowi, który w swem bogobojnem życiu, sławiąc Jehowę, zapewne więcej nakradł, niżby się niejednemu sumiennemu statystykowi społecznemu policzyć zechciało.

eW domu rodzicielskim powitano „szelmę“ i „ścierwo“, tak jak się wita szelmę i ścierwo. Tylko piękny cudowny starszy pan o białem wyniosłem czole odczuł, że się straszna krzywda dzieła, dzieje i dzieć będzie, i przycisnął ją do serca tak, że aż tchu zabrakło w zgnicionych piersiach.

Dostała posadę w kawiarni. Piękność jej powróciła, jak po zimie wraca wiosna. Przez oczy szydzą-

ce z strojnego i pustego tłumu kawiarnianego świeciło jej dostojęństwo, upakarzane, lecz nie upokorzone. Teraz, może po raz pierwszy, życie złąkło się Ewy. Zatrwożyło się w wyszlifowanym mózgu zesłego na psy filozofa Horsta, który poczuł, że iskry jego cynizmu padają na własne serce, odkąd ona tam była. Zadygotało śmiertelnym lękiem w duszy-mimozie Szczerbica, który kiedyś rozsiadał się na krawędzi stołu wobec Ewy, a teraz jeno czuł: czemuż nie klękacie wszyscy, przecież podwoje kościoła się rozwarły . . .

Życie stwierdziło z osłupieniem, że Ewa wykrada mu jego najniebezpieczniejszą broń, że chowa ją w sobie głęboko, że trzeba będzie mu dotrzeć do szczelnie zamkniętych światów jej duszy, by może jednak wydrzeć z korzeniami dobroć i mądrość. A droga była teraz zawarowana i obsaczona, bo Ewa, wiedząc, że życie już jej teraz niczego dać nie może, nie lękała się jego odmowy. Raczej czuła, że ona może rzucić życiu strzępy swego dostojęństwa, jak psu się rzuca gnat. Teraz mogła bez uszczerbku nieść lekliwą piękność swą między ludzi. Żadna moc ludzka nie była już w stanie jej zbrukać, boć wyszła czysta i niepokalana z wyziewów kloaki, gdzie była życiu zapłaciła czynsz na wiekiistą przyszłość, czynsz białych nocy, śliskich potów śmiertelnych i upiornego lęku. Więc na cudnych ustach osiadł teraz uśmieszek okrutny, poczęła się ubierać wykwintnie, pielegnować piękne ręce i pieścić się sobą.

Grzech jej uświęcił ją najzupełniej, bronił dostępu wszystkiemu grzechowi wokół niej. Szła sobie teraz przez życie jak święta lunatyczka, żywiąca jeno w sobie swą piękność, dobroć i mądrość — i tego, któ-

ry był ciche jeziora jej duszy rozkołysał aż pod stropy niebieskie, Łukasza. Łaski poznania pełna miłość wlała w nią błogosławieństwo całkowitej dumnej świadomości swej istoty: Patrz sobie, koteczku, patrz śliczny paziu... Nic z tego, nic, bo ja jestem, widzisz, wierna Łukaszowi, *którego może na świecie już niema...*

Teraz już jeno wieczność miała do niej prawo nie życie. W smutnej rozmowie z Różą Niepołomską wykryształizowała w jej umyśle prawda, zawisała w rozczynie myśli i uczuć: Że nie popełniła zdrady względem nikogo, nawet nie względem rodziny, jeżeli, to jedynie względem własnej duszy, względem wieczności. Więc jedynie z wiecznością przyjdzie jej robić obrachunek...

Dlatego też pojechała bez skrupułu i bez lęku w świat ze Szczerbicem. On, który cynicznym zbiegiem okoliczności przywodził jej przed oczy najgorsze momenty jej życia, zrozumiał i odczuł tę całą ohydę, jaką życie najłaskawiej z nią wyprawiało, z nią, boginią nieśmiertelną, promienistością słoneczną, zamkniętą w kształt kobiecy. Napotkał on nareszcie to, czego od życia wymagał. Znalazł tę, która mogła być ugłaskać, upieścić, złagodzić wszystko, co w życiu jego było smutkiem i niedolą, której nieznana, głęboka, czuła dusza mogła być bezpiecznem schroniskiem dla jego duszy-mimozy, doświadczającej smutek, już z prostej racji istnienia doskonałej piękności.

Ewa mogła była — a musiała go nienawidzić, boć to on kiedyś przestrzelił płuca Łukaszowe. Szczerbic wiedział o tem: „chciał wynaleść w niej coś wstrętnego, cechę gminności, prostactwa, chamstwa, coś, coby mogło zmierzić“. Szukał, lecz nadaremnie, bo

zachwył jego wzmagał się i już nie palił, lecz gorzał w sercu jak roztopiony ołów.

Droga jego już była teraz nieubłaganie wykreślona, jak droga komety, która w potężnych parabolach zbliża się ku słońcu, to oddala się, by wreszcie w nie runąć.

Ewa wiedziała, że wyjeżdżając z Szczerbicem, choć w osobnym wagonie i stając w osobnych hotelach, spaliła za sobą jakoby siedemnaście wsi, że będzie teraz w opinii już tylko „donna“ Szczerbica. Lecz więcej jej znaczyło wydobycie swej i łukaszowej duszy z kajdan, niż oszczerstwa. Wzmacniała się tedy najświętszem i najszlachetniejszym kłamstwem, jak umierający starem cennem winem: Łukasz, mój narzeczony, przysłał mi pieniądze przez Szczerbica i sam przybywa do kraju, by mnie bronić od zniewag — szeptała w natchnieniu, w górnym nastroju. Wierzyła całą duszą w kłamstwo, które z radością wygłaszała.

Lecz nie znalazła Łukasza w Rzymie, ani w Nicei.

Długie godziny wpatrywała się Ewa samotna w morze. Miotła nią wówczas przepastna tęsknota za drugą jaźnią, którą jeno okrutnem ongi dokonaniem rozczepieniem wspólnej jaźni wytłomaczyć można. Nie uciszy się serce nasze dopóki nie spocznie w Tobie — bo jeno tam zatracają się jaźnie, i klątwa indywiduacji jest tam przełamana. A tęsknota jest cudownie pomysłowa. Zawstydzą swą kazuistyką najdzielniejszych uczni protagorasowych. Z przeciwieństw robi szczeble, wiodące w głąb duszy, szczeble lśniące, złote: Przecież Łukasz to mężczyzna jak tyśiące innych, może nawet gorszy od tyśiąca innych,

bo podeptał duszę, a chciał jeno ciało. A jednak nie dosyć byłoby ujrzeć jego twarz, jedyną na ziemi, nie dosyćby było utonąć w ukochanych oczach, boć w piersi tli się nieugaszone pragnienie wieczyście nowego grzechu z nim.

Czy jest grzech? Musi jednak być, bo choć dążyłam do mego celu, łaska boża mnie odstąpiła. Widocznie Bogu potrzebne moje cierpienie i sprawiedliwości bożej ma się stać zadość. Z cierpienia mego wyrasta skrucha, a ze skruchy, jakoby z kwiatu, ulata zapach: mądrość pokuty. Z pokuty rodzi się świętość. A świętość, mądrość pokuty, skrucha ma pochodzi z mego cierpienia, gdy zabijała dzieciątko z mocy mej . . .

Szczerbic trzymał się zdala i cierpiał. Ewa słyszała doskonale cichy krzyk jego duszy, *tej duszy istotnie bratniej*, a nie mogła bieżyć z pomocą. Dreszcz ohydneho egoizmu przeszywał jej ciało. Musiała się opancerzyć egoizmem, by mózdz żywić prawdę i miłość aż do końca, bo z trwogą wyczuwała, że jest coraz gorzej, że ją zła dola potraça i pędzi z jednej wizji w drugą, z kraju uczuć podłych w coraz podlejsze, że wszystko jakoby nie od niej zależało.

Wszystko co było w jej życiu, wyszło teraz z niej jak wyzwolony tłum zbirów i pognało ją w ramiona cichej, kojącej śmierci, ku morzu. Już fale ją zalewały, gdy po raz wtóry wejrzała prosto w ślepie życia, jak wówczas w chwili położu. O słuch jej uderzyło to, co było najstraszniejsze: senny osłuch cichutkiego kwilenia — i tak jak wtedy uczuła w sobie waleczność! Zabiłam, ja sama z własnej woli zabiłam! I w pełni rozumu przyszła na nią chwila nadczłowieczego zachwytu, zmierzyła wszerz i wdłuż cały

ogrom smutku swego-nieswego, cały ogrom ludzkiego nieszczęścia.

· Odtąd stała się zupełnie spokojną. Po raz drugi przemogła śmierć i zatryumfowała nad życiem. Jakby na wypróbowanie nowych sił swych, zdobytych w chwili nadludzkiej świadomości, wyrwała z objęć śmierci poetę Jaśniacha, który już rewolwer przykładał do skroni.

Złączyła tedy swe drogi z drogami Jaśniacha.

Ogień wzbija się ku górze, zaś kamień spada ku ziemi. Pędzeni własnym ciężarem, podążają za swym punktem ciężkości. Moim ciężarem jest moja miłość, ona mnie pędzi tam, gdzie mnie właśnie pędzi. Zaś łaska Twa zapala i ponosi nas. Gorzejemy i podążamy. Upojenie serca naszego rwie nas ku górze, a my śpiewamy pieśń stopni — mówi św. Augustyn.

Upojenie serca rwało Ewę ku górze od chwili, gdy wionęły w jej duszy słodkie wspomnienia z jej praojczyzny. Śpiewając odurzającą pieśń stopni, kroczyła drogą, którą musiała kroczyć z najistotniejszej swej potrzeby. Wpatrzoną jeno była w ziarno rzeczy, więc z pogardą strzepywała ze siebie plewy i skorupy, które wichur życiowy miotał na nią z wściekłością. Lecz Psyche wyswobadza się i wyzwala za cenę utraty portu „miłości i cichości serca“. Pieśń stopni wiodących ku górze staje się pieśnią wiodących w odmęty. Straszliwa mądrość wiekuistej zmienności uraga resztkom słodkich wspomnień o niezmienności i niezniszczalności. Błogosławieni, którzy nic lub nie wiele pamiętają. Lecz biada tym, co zbyt wiele pamiętają, co są zbyt dumni, by potrzykroć zaprzecić się duszy swej wobec natarczywej służebnicy—życia, co są zbyt słabi, by mieć siły znikczemnienia, a zbyt

mocni, by uledez odrazu syrenim głosom, kuszącym z przystani „miłości i cichości serca“. Więc biada ci, Ewo.

Promienny grzech twój, grzech twego niezwalczonego dostojenstwa zatracą swe blaski, bo chytre życie ociera go o plugawy grzech wokół ciebie. A pan świata, Szatan Trismegista, słodko kołysze twą duszę w potężnych swych ramionach i subtelnym kunsztem odwiecznej swej alchemji przetapia ją i przeistacza (Beaudelaire), aby granitowym prawom wiekuistej zmienności stało się zadość.

Piękną jesteś — więc najdawniejszą twą mądrość o wonnej twej piękności zaczadzają już dymy przeświadczenia, że musi ona być podaną na pastwę nieznanemu, cudzemu, wrogiemu gatunkowi. Ślesz modlitwy ku niebu, by żywić prawdę i miłość aż do końca, a czujesz, że Szcherbic by cię zwyciężył. Przeto wdzięczną jesteś Jaśniachowi, że cię wyswobodził od jego ślicznych ust. Bo z głębi twej duszy wychylają się wspomnienia szczególnych lubieżnych pieśczot łukaszowych o władzy potwornej, i po mózgu ci tańczą jego słowa-potwory, które wówczas były koniecznym dopełnieniem radości.

Więc biada ci, Ewo!

III.

Nieprzebrane jest morze udreki duszy ludzkiej. Chwile szczęścia—to tylko chwile wolne od udreki, to chwile zagłuszenia, zakrzyczenia w sobie życia. Błędnem kołem, wymyślonem przez złośliwych szatanów są rozkosze życia. Bo niema rozkoszy dla

siebie samej, zamkniętej w sobie i wypełniającej siebie. Gdyż każda rozkosz trwa, póki nie wie o sobie, a z chwilą, gdy się staje świadomą siebie, kończy się i pozostawia niesmak przesytu lub niecierpliwość niedosytu. A życie jeży się wyrafinowanymi pomysłami swej złośliwości. Potrafiło ono swe najistotniejsze potwierdzenie zaprawić piotunem bolesnej żądz niebytu. Miłości wypaliło stygmat śmierci, bo miłosne pożądanie drugiej istoty jest jeno namiętną wolą zagłady swej własnej istoty. Prześcignęło więc życie krwawem kuglarstwem swej djalektyki najwyższymi wybryki myśli ludzkiej, pozwalając sobie na urągliwy dowcip, że wola bytu a wola niebytu to jedno. Z najczystszej miłości poczęte było, za sprawą życia, dziecię Ewy — a toż same życie napiętnowało go wzamian krzywdzącem znamieniem bękarta. Ewa, która była uchylila rąbek kłamliwej a namaszczonej maski życia, mogła wspominać bez żalu i bez trwogi: pocóż ja wtedy zabiłam dziecię swe? Grzech jej bowiem był odpuszczony. Bo zmazał go spowiednik najmocniejszy, zmyła go potęga największa — gdyż odpuściła go Ewa sama sobie. Teraz stało jej się wszystko, co pięknem było wokół niej, symbolem odpuszczenia. Maleńkie, ciemnoróżowe drzewko gorzkiego migdału, wyrosłe na dzikim wybrzeżu korsykańskim, było dla niej zrazu „gałęzią odpuszczenia“.

Spokój i ukojenie zstąpiły na nią w owe szczęśliwe dni, które spędzała na Korsyce z chorym poetą Jaśniachem. Wieczysta melodia morza wymywała ropę nikczemnych wspomnień z jej serca jak lepki mól z skał przybrzeżnych. Morze było teraz jej miłością, bo ono tylko jest jak miłość: całe zawiera się w sobie, zaspakaja żądze pragnienia obszaru, wchła-

niania ogromu, urzeczywistnia to, co miłość Łukaszo-
wa w niej jeno była wznieciła i rozwichrzyła, a nie
dopełniła.

Tratowane kopytami życia jej niezwalczone do-
stojeństwo wystrzeliło znów świeżą soczystą łodygą.
Silniej od wichrów wiosennych, druzgoczących góry
lodowe, wionęło w niej potężne tchnienie, jakoby po-
witalny powiew odedna jej duszy — i dała się ponieść
na swą właściwą drogę, prowadzącą do najwyższej,
do najdalszej doskonałości. A droga ta wiodła po-
przez słodkiej rezygnacji pełną krainę bezgranicznego
miłosierdzia, którego łaską postanowiła otoczyć bie-
dnego, chorego Jaśniacha.

Lecz jeszcze inną pieśń śpiewało jej morze, prócz
pieśni wieczności, pieśni ukojenia. Śpiewało jej zło-
wrogą pieśń czaru wszystkiego co ziemskie, upajają-
cy hymn odmętów życia, pean chuci niezniszczal-
nych, pieśń synów ziemi, przeklinających swe chucie,
a jednak błogosławiących im.

Łukasz - Trismegistos znów rozwarł bramy jej
duszy... Zadrżała, bo zrozumiała, że jeno ciągnęła
zemstą na nim zmoże go, że jeno złorzecząc mu,
zniszczy go w sobie. A dusza jej, pełna odwiecznej
dobroci, przetapiała mściwość na słodki balsam aniel-
skiego poświęcenia dla Jaśniacha.

Tak otoczył życie jej wewnętrzne „splot sennych
niewyrozumowanych konieczności“. Uśmiechnięta
i żywa, wesoła i czynna, a mimo to pełna obrazów
boleści Łukasza, które mu zadawała w myślach,
klnąc go i pastwiąc się jego bólem, gdy bezlitosna
plotka zanieśie mu wieść, że jest „kochanką“ Ja-
śniacha.

Dziki, rozkietznany śpiew synów ziemi począł za-

głuszać kojące akordy morza. Jesteś wolną, swobodną i nadto wiedzącą kobietą, śpiewały jej fale, więc uczynisz ze sobą co zechcesz i jak zechcesz. I pewnej chwili huragan buntu i gniewu zawył w jej duszy, w oczach zapłonął ogień „nieugaszony, długotrwały“ — i nagle, słowa nie mówiąc Jaśniachowi, opuściła go, wsiadła na statek do Livorno, a potem koleją do Genewy.

— Tak rozpoczęły się dzieje zemsty na Łukaszu, dzieje spłacania krwawej daniny życiu, które jest niezwykcieżone, chyba że się go wyrzeka — czyli dzieje serca, którego uderzenia już są grzechem, złowrogo się mszczącym: bo tak się od prawieków spodobało niezgłębionej mądrości wielkiego Ozyrysa, gdy kulę ziemską osadzał między potężnymi rogami świętego Skarabeusza.

Miotane strachem śmiertelnym i lękiem nieskończoności biedne mózgi ludzkie najdziwniejsze sobie potworzyły haszysze, lepiąc sobie bogów wedle podobieństwa swego. Pstrokatą jak „garnki z farbami“ Zaratustry jest owa wieża Babel, wypełniona bogami białymi, czarnymi i kosmatymi, których nie łączy nic, chyba wspólne boskie, radosne pastwienie się widokiem nędzy ludzkiej, rozweselającej ich serca. Mściwość stała się tedy ich rozkoszną strawą i chłepcą ją pełnemi haustami, ten swój prawdziwy nektar i tę swą prawdziwą ambrozję. A my, chełpiący się, że pierwiastki boskie wszczepione są w dusze nasze, przeżywamy w nieskończonej słodyczy zemsty rozkoszne potwierdzenie naszych boskich powinowactw i koligacji.

Uderzyli tedy w struny różanopalcy bogowie i zrazu pojawił się skutek nie ludzki, nie ziemski, lecz

boski. Gdyż wysłuchaną została modlitwa tej, która
łkała sercem ku niebu, by żywić prawdę i miłość aż
do końca: serce Ewy wezbrało nektarem boskim,
zstąpiła bowiem na nią moc i łaska mściwości
i zemsty.

W Genewie bowiem dowiedziała się Ewa prawie
przypadkiem z rozmowy studentów Polaków, że Łu-
kasz w Rzymie uzyskał rozwód, że był w Genewie, że
ożenił się z miljonową Milady i że obecnie odbywa
podróż poślubną do Nowej Zelandji... Uciszone pie-
kło zacharczało znów z całą mocą. Lecz niczem już
jej było rwać na sobie suknie, targać włosy, łkać gło-
śno, głośno co w piersiach tchu, bo już poczuła w ser-
cu słodki jad Nektaru i Ambrozji. Dusza jej przy-
cichła tedy złowrogiem milczeniem cmentarnem, bo
zawładnęli nią bogowie. A w świadomości pozostało
tylko tyle, że jest idjotycznie „wolną“ — i nie wie-
dząc, że jest jeno naczyniem pełnem łaski mściwości
i zemsty, uczuła „od jednego zamachu doli“, że musi
albo umrzeć, albo oddać się natychmiast Liwickiemu,
który był jej wyśpiewał amory łukaszowe...

Życiu wyrывała się Ewa, by być całkiem bez
zdrady, by dać świadectwo swej piękności, mądrości
i dobroci aż do końca. Wypłukiwała z siebie ropę
życia wiekuistą melodją oceanu, uciszała w sobie
wszystko byłe nikczemne słodkim poszumem „drzew
odpuszczenia“, — lecz oddali ją życiu nieśmiertelni
bogowie. Rozwarły się tedy przed nią szeroko bramy
owej przeklętej krainy, „gdzie kobiet upadłych wzrok
pała, uwielbieniem łachmanów i chorego ciała, gdzie
w oku skazańca błyszczy błysk dumy, gdy się z szu-
bienicy z wzgardą patrzy w ludzkie tłumy, gdzie mi-
łościwy Szatan broni od śmierci i zgubnego strachu,

lunatyków błądzących po krawędzi dachu“ (Beaude-
laire), gdzie z plwocin żebraków rosną lilje śnieżyste,
gdzie pieśń synów ziemi złorzeczy a błogosławi.

• Ewa rzuciła się więc w wir życia, ponoszona naj-
rozmaitszemi planami. Chciała wstąpić na medycy-
nę, zostać szarytką, jechać do Ameryki, lecz nade-
wszystko żyć jakimś życiem ogromnem, huczącem,
pełnem rozgłosu, hałasu, awantur i wypadków no-
wych, wciąż nowych. Śmiesznem wydało jej się da-
wniejsze zajęcie w warszawskiej cukierni. Teraz
w Paryżu miała kufry pełne wytwornej bielizny,
toalet, siała pieniędzmi, chciała kupić wierzchowca
karego z ognistemi ślepiami. Przecież zemsta na Łu-
kaszu była dokonana, więc mogła używać do syta, do
odurzenia. •

Gdzie się rozpoczyna grzech? — pytała się Ewa
w zaraniu młodości, gdy mówiono jej, że grzech
wszędzie czycha, a nie dawała wiary. Teraz, gdy
wiedziała, że grzechem już jest serca bicie, nie próbo-
wała się bronić grzechowi, boć przecież wszystko jest
grzechem, a „wszyscy nic nie wiemy“. • Może tedy
grzechu wcale niema? może to tylko ohydne uroje-
nie naszej duszy? Jeżeli grzech jest wszędzie, to
gdzież i jak może być nie-grzech? Więc niema czy-
nów grzesznych, bo nie może być niegrzesznych. Są
tylko czyny, tak jak są kamienie przy drodze i wróble
ćwierkające na drzewach. Dlatego też żadne później-
sze czyny nie mogą dawniejszych zamazać, zatrzeć,
złagodzić. Bo nie tylko już, ale też wyłącznie serca
bicie jest grzechem. •

Więc grzechu nic nigdy nie złagodzi, jak bicie
serca, które się stało, się nie odstanie. Kto raz posły-
szał potępieńczą pieśń synów ziemi, ten już nigdy

słyszeć jej nie przestanie, choćby sobie wosk w uszy kładł jak Ulysses.

Dlatego strasznie kocham twą zbrodnię — szep-
tał Szczerbic, ta dusza prawdziwie bratnia, do Ewy
w najwyższym uniesieniu. I nie mógł utulić swej bez-
granicznej zabójczej miłości, która teraz w Paryżu na
nowo rozszalała, bo nie mógł dostrzec w niej nic
wstrętnego, odrażającego, obmierzłego — mimo że
wiedział wszystko, co w jej życiu było, i przeczuwał
wszystko co będzie.

A grzech, który raz się stał, już się nie odstanie —
więc Ewa w zamian musiała dać świadectwo praw-
dzie: ja kocham tylko Łukasza.

Z wytworną lekliwością była Ewa dotąd żywiła
swą piękność, miłość i dobroć, ponosiła wszelkie
ofiary serca, tłumiła swą miłość i kryła się z nią, wy-
czekiwała rozvodu Łukasza, czyniąc heroiczne konce-
sje życiu za cenę utraty portu cichości serca i ukoje-
nia. I tak wiedziona uczuciem najtkliwszem, nie zbo-
czywszy ani odrobiny z drogi swej prawdy i swego
piękna, doszła do najpotworniejszej przepaści, jaką
życie wykopać raczyło: uderzył w nią obuch okrutne-
go rozpoznania, że płonna, tragicznie bezsensowną
i bezcelową była jej zemsta na Łukaszu, bo Łukasz
był niewinny (według relacji Szczerbica) i wszystko
u niego było w porządku, „i co najokrutniejsze, zaw-
sze będzie w porządku.“ Złowrogim blaskiem świeci-
ła teraz w jej duszy bolesna prawda, że przenajczyst-
szem i przenajświętszem było jej serca bicie, że wszy-
stko złe, nikczemne, grzeszne, co omotało jej duszę,
było tylko samozachowawczym odruchem nękaney
i spotwarzonej istoty, że wszystko to ohydne ją nie
plugawiło, raczej uświęcało, uniewinniło, rozgrzesza-

ło. Rozdarła się tedy dusza Ewy na w pół—obmierzo jej małe nikczemne plugawe życie, napęczniałe od moralno-społecznych konwenansów, owo życie potwornie kłamliwe, bo oszukujące tych, co mu swe dostojęństwo powierzają a przytem wydęte jak ropucha cuchnącemi ambicjami uszczęśliwiania małych i płytkich, pokornie cwałujących w uświęconym deptaku.

I sprawy ducha Ewy potoczyły się ku drugiemu biegunowi. Poczula, że rozpiera ją rozkoszne marzenie „o olbrzymiej wolności ponad ludźmi, ponad wszelkiemi prawami, wbrew wszelkim ustawom.“ Wionęło w niej potężne tchnienie miłości ku aniołom wyklętym z raju, padł na nią blask upajającego czaru tragicznej doli prometydów, którzy zgrzeszyli przeciw bogom nadmiarem miłości i nadmiarem współczucia dla ludzi, za co pogrążono ich w odmętach okrucieństwa. Poczula w sobie dumę orła unoszącego się nad przepaściami, tryumfującą pychę dzikiego drapieżnego ptaka, który się wyrąbał na wolność, poszarpawszy sztaby klatki więziennej.

Już innej drogi dla niej nie było: albo pożegnać się z życiem, albo istnieć ponad życiem.

Jak wówczas w rozbrasku młodości, nieświadoma jeszcze złego i dobrego, słała wonne kwiecie swych uczuć do obolałych stóp żebraków, czołgających się pod warszawskim kościołem, prosząc o łaskę uciszenia i spokoju dla ich biednych głów — tak teraz, w pełni świadomości dobrego i złego, uczuła najgłębszą litość i dzikie umiłowanie tych, co muszą być ponad życiem, bo w życiu miejsca dla nich nie było i wyklęto ich z pomiędzy ludzi. Tych, którym do stóp przyczepiła się sfera gończa praw, ukutych między ludźmi przeciw nim, tych co są w wiecznem niebezpieczeństwie,



co żywią potępieńcze dumne odczucie nieprzebytej przepaści między sobą a wszystkim ludzkim.

Tak, sprawę jej ducha przesunęły się ku drugiemu biegunowi. A krok stanowczy, decydujący, nieodwołalny uczynił Pochroń bandyta, łotr, szubrawiec, szuja rodzima — lecz noszący owe Kainowe znamiona spotęgowane aż do tragizmu. Ścigał on Ewę latami i nareszcie dopadł jej. Teraz już jej nie puścił ze swych potężnych ramion i wszechmocne straszliwe jego oczy trzymały ją na uwięzi jak wąż struchlałą ptaszynę.

Tak rozpoczęły się dla Ewy dzieje obłędnej rozkielznanej rozpusty z Pochroniem, rozpusty która targa nerwy na strzępy i jątrzy ciało, lecz która — o dziwo — kołysze dusze i wyzwala ją z więzów prawdziwej głębokiej a niezaspokojonej miłości.

Pochroń Ewę rozgrzeszał i wybawiał — bo na drugim biegunie ducha swego poczuła z upajającym tryumfem, że nareszcie poczyna znikać z jej serca straszliwa, śmiercionośna miłość do Łukasza. Więc rozpasana rozpusta z Pochroniem nie musiała być jednak taką złą, kiedy powodowała takie dobre i słodkie skutki. Dotąd wszystko co było dobre i szlachetne w jej życiu, koszlawiło życie na nikczemne i udręki pełne. Lecz tu, na drugim biegunie, wyrastał z bagna kwiat wonny, kwiat odurzenia i uciszenia. Potępieńcza pieśń synów ziemi rozbrzmiewała swemi najistotniejszymi akordami, na mózg się kładły gęste upajające opary wszystkiego co ziemskie i nareszcie *nie* było grzechem serca bicie.

Jak kiedyś u progów życia głaskała była Ewa zawszawione włosy żebraków białą aksamitną dłonią, tak teraz wezbrała uczuciem prawdziwego anielstwa,

najczystsza miłością ludzi dla ludzi, dla prostej smutnej racji ich istnienia. I złożyła święty i uświęcenie niosący pocałunek na lubieżnych ustach bandyty, grabieżcy i gwałciciela Pochronia; pocałunek pełen wdzięczności, że nareszcie pękają kajdany złowrogiej miłości do Łukasza, pocałunek pełen współczucia dla tych, co są w ciągłym niebezpieczeństwie i nawet śpiąc czuwać muszą, bo inaczej by ich ludzie schwyтали i ubili jak wściekłego psa.

„Kto nie jest orłem, niechaj nie siada nad przepaściami,“ przestrzega Zaratustra. Wicher wypadków zagnał był Ewę do gniazda dzikich drapieżnych ptaków, woniejącego krwią i padliną. Wyczulone zmysły jej odurzyła atmosfera ostra i połyskująca jak sztylet korsykański. Więc z razu przycichła ogłuszona i oszołomiona. Cichło nadto w jej sercu okrutne misterjum miłości Łukaszowej. Już potrafiła go wspominać jako coś byłego, nie miłego, przykrego i gdyby się teraz zjawił, napewnoby go odtrąciła.

Lecz ogłuszenie i odurzenie to nie ukojenie. Wszystko straszne i ohydne schowało się tylko w przepaścistościach duszy, przyczaiło się jeno, jakoby pastwiąc się rzekomem odetchnięciem i uciszeniem się ofiary, jakoby sposobiąc się do nowego, straszliwego skoku. Odczuwała instynktownie złowrogość tej ciszy cmentarnej, pełnej złudnej zdrady, więc zapanowało w niej nadewszystko jedno pragnienie: nie dopuścić do siebie wspomnień miłości, nie dać im nigdy zapanować w duszy, nie pożądać z ducha, nie kochać sercem — tylko wegetować i trwać w spoczynku zapomnienia.

Rzuciła się tedy z tragicznym rozmysłem w wir ohydneho życia, którego bramy rozwarł jej Pochroń.

Trawiona tęsknotą ukojenia za jakąś ceną, zaprzepaszczała swą istotę i powoli polubiła ordynarność zabawy, płaskość i ostrość dowcipów, szampańskie nocne libacje, bo z radością odczuwała, że gubi się, że zatracą się w tem zbiorowisku, pełnem szychu świecideł i blichtru. Straszliwe to życie, cel pragnień i istota wegetacji tamtych, było dla niej tylko surogatem, narkotykiem, którego się w chwilach jasnych ze wstrętem odtrąca, lecz do którego się w chwilach smutnych powraca z rozkosznem drzeniem. „Zdradziłam cię i znalazłam spokój“ zlorzeczyła w myślach Łukaszowi, upajając się do bezprzytomności grozą i ohydą zlorzeczenia tego. A drugi narkotyk, którym zatruwała się chroniąc się przed sobą, było wzniecanie płomiennej nienawiści do Szczerbica. Przecież to on przestrzelił płuca Łukasza i tym swoim strzałem wydobyl ją z domu i rzucił w jego ramiona. Więc marzyła tajnie, by i Szczerbic, ta dusza istotnie bratnia, potoczyła się z nią z krążganków kościoła ku przedsiönkom lupanaru.

Tak odurzając i ogłuszając się samochcąc, stawała się powoli posłusznem narzędziem w rękach tej szajki zbrodniarzy. Dobiegała z zaciśniętymi oczyma do szczytów drugiego bieguna, na którym panowała niepodzielnie nikczemność dla nikczemności, bandytyzm czynów i bandytyzm ducha upajający się sobą, tam gdzie stał samotny, posepny i złowieszczy Płaza-Spławski. Pod granitowem jego czołem czychało tyśiące tęgich myśli, przygwaźdzających do swych korowodów wydarzenia życiowe jakoby ostrzami sztyletów. Atylowego pochodu jego djalektyki nie tamował i nie wstrzymywał ni cień jakiegokolwiek uczucia, nie gmatwało najlżejsze serca bicie. Bo baczył on na

życie wokół siebie jeno tak jak sęp się patrzy na stado trznadli. Był to udzielny pan drugiego bieguna, potępieniec pełen poczucia swej mocy bezuczuciowości i bezsercowości. Dlatego mógł patrzeć on jeden jedyny z swego drapieżnego gniazda bez zawrotu głowy w ziejące przepaści życia ludzkiego i nędzy ludzkiej. Od fałszywego niebezpiecznego dlań kroku chroniły go olbrzymie czarne skrzydła Anioła, od prawieków potępionego.

Dla Sławskiego była Ewa tylko pionkiem na szachownicy, ogniwem w łańcuchu jego żelaznych czynów. Z zimnem wirtuozostwem anatoma zanalizował jej duszę. Ocenił jak przystało na mistrza, a ponieważ jemu i Pochroniowi się pieniądze wyczerpały i trzeba było nowe zdobyć, więc puścił w ruch bojo-
wy Ewę, sam stojąc na wyniosłym strategicznym uboczu. Wiedział czem była Ewa dla Szczerbica, więc miała nakłonić go do spieniężenia swych znacznych posiadłości i przybycia do Wiednia. Ponieważ nie chciała dobrowolnie, więc zmuszono ją przemocą. Skatowana na rozkaz Sławskiego przez Pochronia napisała list do Szczerbica.

Teraz uczuła najdotkliwiej, w jak strasznej znajduje się niewoli. Brutalne ciosy Pochronia zdarły z jej duszy chroniącą powłokę uwiłą z takim trudem z samoodurzań i samoogłuszań. Lecz, co najstraszniejsze, uczuła zarazem, że teraz już zapóźno, że już się pewnie nie będzie mogła obyć biedna jej dusza bez narkotyków, któremi się przy życiu trzymała. I w szale duszy krwawiącej, pisząc zdradziecki list do Szczerbica, zdawało jej się że jest szatanem, i że z jej ramion wyrastają dwa olbrzymie szatańskie skrzydła — Płaza i Pochroń.

Potępieńcza pieśń synów ziemi, co raz rozszalała, nie dała się już zagłuszyć.... choć nienawidziła swego kata Pochronia, to nie mogła się oprzeć radości, gdy jej „przebaczył“ opór stawiany przy pisaniu listu, a ogień wznicił w jej żyłach szept miłosny jego pięknych ust, tych ust, które były podstępą przemocą popchnęły sprawy jej ducha ku drugiemu biegunowi, gdzie brutalna siła ciała niszczy straszliwe misterjum miłości duszy.

Szczerbic przyjechał, choć go coś ostrzegało: nie patrz na szczęście pod światło — i Ewa poczęła wchłaniać z bólem, graniczącym z rozkoszą ten drugi swój narkotyk. Przecież to on przestrześlił płuca Łukaszo-we, właśnie on co ją całkiem rozumiał, jedyny co wiedział, że ona jest dobrem, prostotą i porządkiem, że w niej jest wszystko ściśle, dokładne, dociągnięte, dostrojone, że Bóg mieszka w jej kobiecem sercu a niebiosa w jej łaskawych oczach.

Więc pastwiła się tym okrutniej nad nim, jakby pastwić się nad sobą. Jasno widziała, że szaleństwem jest żyć tak jak żyła, boć żyła chyba na to, by w pełni zaznać, czem jest brutalność i trąd życia. Dawniej pragnęła być człowiekiem, dziś drwiła z tego. Dziś żyła jeno chęcią wyrzucenia po za siebie tego wszystkiego, co było zadatkami na człowieka, by mieć tym drastyczniejszy obraz życia. Stąd oddawała się ciałem Szczerbicowi, nie duszą, stwarzając w nim piekło cierpienia i radości. Nie oszczędziła mu nawet wyznania, że była własnością Pochronia, że go zdradzała mimo umowy, której on wiernie dotrzymał. (On zaś pograżał się coraz głębiej w szaleństwie miłosnem). Mimo to nie mogła się oprzeć wielu uczuciom dla niego — tak jak niepodobna nie kochać wła-

snej duszy. Więc gdy Płaza i Pochroń uchwalili, że trzeba zabić Szczerbica, by osiąść jego pieniądze—wtedy zabiła go w szale djabelskiej rozkoszy, tak jak krwawą lubieżnością zabijała własną duszę, ciszyła serca bicie

Potem zeszła do rzędu kobiet publicznych.

Na tej najsmutniejszej ścieżynie jej życia nawiązał się człowiek, dziwny człowiek, który postawił sobie za cel: nie przeszkadzać złemu i nie przeszkadzać dobremu. Wiedziony najpraktyczniejszym marzycielstwem przekształcił swe magnackie posiadłości ziemskie na wymarzone państwo socjalnej równości. W bród tam było wszelkich urzędzeń i zastosowań humanitarnych, higienicznych, filantropijnych i t. d. Kto chciał sprowadzać się na Majdan, a gdy mu się sprzykrzyło opuszczał go, albowiem nie trzeba przeszkadzać dobremu. Leczyły się tam z ran rozmaite siostrzyczki-prostytutki. Powiódł tam Bodzanta także Ewę, nie byle kamelję. Zobaczyła więc Ewa jak się ser wyrabia i patrzy na znakomite kopje Botticiego lub Andrea del Sarto, albowiem nie trzeba przeszkadzać złemu. Mimo że widziała Ewa dalej, że ofiara Bodzanty nie była zupełną, bo nie potrafił się wyrzec wspaniałych sprzętów, cudnych sztychów angielskich, w swych apartamentach pełnych komfortu—mimo to, tu w deptaku fizycznej pracy, tak daleko od Płazy i Pochronia, zeszło ukojenie na jej głowę. Były chwile, w których zbliżała się do szczytów, do jakich wogóle powieść może serca bicie—bo wspominała już tylko rzeczy dobre i słodkie z swej przeszłości: Różę Niepołomską. Zaś lekka mgła oplotła minione rzeczy złe, kryjąc je litościwie. W snach pisywała listy do Róży, pełne słodkich i wonnych zapewnień, że zapo-

mniała Łukasza . . . Zaś Bodzanta siadywał zasepiony nad szklanym głębokim stawem swego parku i rzucał żer łabędziom czarnym i białym, przesuającym się monotonnie jak noc i dzień. A duszę mu przeżył ohydny dreszcz tajnego wewnętrznego ziewania: zasta-wiłem ucztę niegorszą od Trimalchiona, zdziałałem tyle, lecz poco? naco? bo zamiast cieszyć się i śmiać— nudzą mnie moje cnoty.

Poznał był odwieczne obłędne powrotne koło bólu posiadania i łaski utraty — dopiero gdy Ewa, oszalała tęsknotą łaski utraty, łaski wypowiedzenia się, wykrzyczenia, wymiotania ze siebie zbrodni na dziecięciu i na Szczerbicu, poczęła miotać w ckliwe skorupy jego lepkich nudnych cnót spojrzenia zabite, zmęczone, pełne bólu, którego wyrazić niepodobna, wtedy Bodzanta wyprężył się jak tygrys, wypuszczony na wolność. Skręcił kark swym cnotom i odurzony gorącą krwią, buchającą z serca Ewy, dojrzał oczyma pełnemi zachwytu i żądzy toczący się po ziemi lazurowy uśmiech wesela . . .

Teraz jako nałożnica Bodzanty, podaną znów była na pastwę przeszłości, wypełzającej z duszy. Ukolenie prysło. A gdy w Majdanie zjawił się Splawski, niosąc sfałszowany list od Łukasza, wtedy poszła za nim, porzuciła „blekot cnoty“. Lecz Łukasza nie było — za to przyczepił się do niej Pochroń, chory i żyjący w nędzy. Przez litość pielęgnowała go i zarabiała jak przedtem na wspólne życie, w otoczeniu najpotworniejszych bandytów.

W czeluściach tego życia przychodziło zwolna litościwe stępienie moralne, obojętność na wszystko prócz pożywienia i odzienia. W świadomości pozosta-

ła tylko nienawistna kłująca igła, że jest sprzedajną uliczną dziewczką.

W końcu zmusili ją bandyci do wspólnej napaści na Niepołomskiego. Ewa strząsnęła z siebie moralną apatję, pozornie wzięła udział by przestrzecz i ocalić Łukasza. Nie powiodło się, bandytów schwytano, zaś Ewa śmiertelnie ranna z mściwej broni Pochronia, zakończyła życie w ramionach Łukasza.

IV.

„Wszystko jest złe bezgraniczne i chaos“. Do największych pomyłek myśli ludzkiej należy wywodzenie kosmosu z chaosu. Błąd to jakoby niewytopialny. Mojżeszowe Tohu Wabohu, Epikura deszcze atomów padające tak sobie, pokutują jeszcze po mózgach i snują się jak błędne cienie nawet w ścisłych kosmogonjach Kantów i Laplace'ów. Za pewnik uważamy, że światem zjawisk rządzą granitowe prawa przyczynowości. Wszystko co się dzieje ma swą dostateczną przyczynę i musi ją mieć, bo inaczejby się dzieć nie mogło. Żelazna tkanka przyczynowości jest niejako kręgosłupem wszechświata. Dla tego jest nam świat kosmosem, czyli utworem pięknym, szarmonizowanym, dociągniętym, dostrojonym. A świat będący raz kosmosem nie mógł nim nigdy nie być, bo prawa przyczynowości zatapiają swe potężne szpony w wieczności. Rządziły one przed prawiekami z tą samą obowiązującą mocą co dzisiaj. Wszystko co się dzisiaj dzieje jest predysponowane i uwarunkowane od prawieków. W wieczności leżą ostateczne przyczyny cichych trzepotań skrzydeł motyli i mono-

tonnego brzęku, gdy wiatr jesienny tłucze o szyby niskich chat chłopskich. Wszystko jest dostatecznie określone i przewidziane, wszystko jest granitowy ład i żelazny porządek — więc wszystko jest bezgranicznie dobre: Kosmos.

A jednak wszystko jest straszliwy bezład, bezgranicznie złe, chaos. Boć prawidła kosmicznej przyczynowości rozsypują się w puch u tajnych bram duszy ludzkiej. Mniej niż nikłym ziarnkiem piasku nad oceanem są u podwoi ducha owe potęgi, które piętrzyły Himalaje, żłobiły łożysko morza i które obłądny bieg komet naginają ku słońcu, by je zaraz odepchnąć w beznadziejną dal. Duch urąga kosmosowi, idzie mimo niego, załatwia swe pańskie sprawy według własnej autonomji. Cały system planetarny, włącznie szanownej naszej matki ziemi, mniej waży na szalach ducha aniżeli jedna drobna łąza, jeden przelotny uśmiech wesela odedna duszy ludzkiej. Więc wszystko co było w wieczności obojętnem i nie nieznaczącem jest dla ducha, nic go nie warunkuje i predestynuje. Czyny jego wypływają z własnej wielmożności, bo jest on ciągle twórczym i nadaje sobie sam swe prawa. Lecz czyny twórcze ducha są jego nieustającą udręką i potępieńczą klątwą. Bowiem autonomia ducha łamie sobie skrzydła wolnego królewskiego ptaka o więzienne wypolerowane słupy Kosmosu, bo duch jest za dumnym by się wyrzec swych praw i przywileji. Dla tego też wszystko co jest, jest dla ducha bezgranicznie złem, Kosmos jest dlań chaosem.

Więc zło wzmaga się w miarę potęgowania i wysubtelniania się ducha. A przy szczytach zieją śmiercionośne przepaści. Chaos z Kosmosem zmagają się

tam w złowrogiem objęciu. Kto dochodzi do szczytów, temu danem jest także spojrzeć w odmęty nędzy i ohydy bytu ludzkiego. Na szczytach nawet orłom blask słońca oczy ślepi — a słońce bezwzględnej prawdy jest najpromienniejsze i najwięcej bezlitosne. Ze szczytów nikt nie wraca takim jakim tam podążał. Groza ujrzanych tajemnic zamyka oczy na wieki i biedny wędrowiec, opiera się jeno na koszturze wspomnień i przypominań.

„Wszystko jest wstrętne, podłe skoro może istnieć taki ból, jaki już widziałam“. Smutną tę mądrość przywlokła Ewa ze sobą z swych szczytów. Poza bezpamięcią i niemyśleniem nie mogło więc już być ukojenia dla niej, której życie wyrzyło w duszy, że wszystko jest bezwzględnie złe, bo niema pojęć — lepszy — gorszy, a nadto wszystko jest bez wartości. Właśnie wszystko to, co chce żyć w świętym duchu — chaosie, trzeba zagłuszać, niwelować, paczyć, by módz istnieć w świecie — Kosmosie. Ewa ugiwała się całe życie pod ohydą „przystosowywać się do okoliczności“ — lecz nie ugięła się, nie przystosowała się mimo ofiar najkrwawszych, póki sprawy jej ducha nie były się jeszcze przesunęły ku drugiemu biegunowi. Nie uległa, póki uderzenia losu, który kołki ciosał na jej głowie jak na białej czaszce króla Leara, nie ogłuszyły ją tak, że duch w niej zapomniał i nie myślał o sobie. Droga z szczytów w przepaści jest bowiem stroma, naga, nieoczekiwana. Nie wiodą tam wygodne schody, wysłane grubemi kobiercami moralnej autohypokryzji. Kto runie ze szczytów, ten wpada w przepaść bezwzględną. Jeno pachółkom i lokajom ducha nic nie zagraża. Gdyż zatrzymują się oni w pół drogi, gęste opary oportunistów ducha odurzają ich mózgo-

wnice i chronią ich od szczytowych niebezpieczeństw. Przystosowują się oni niejako: z miłą chęcią.

Lecz na drugim biegunie ducha stoją jeszcze ci, którzy w pełni świadomości i ze wzgardliwym rozmysłem wyrzekli się chaosu. Wtłoczyli się raczej w kosmos z jego granitowemi prawami i są już jeno jednym z kół miażdżących i bezlitosnych. Przystosowali się oni najdoskonalej, jak lew do Sahary lub biały niedźwiedź do śniegów polarnych. Dla Płazy-Spławskiego jest wszystko co jest, bezgranicznie dobre, bo wszystko jest jeno środkiem do celu, tylko szczeblem na drabinie, wiodącej do jedynej jego prawdy: do wyłącznego użycia rozkoszy, której szczyt zawarty jest w męstwie. Kamienne prawa przyczynowości są niesłuchanie mężne i nieustraszone, dlatego leży maximum rozkoszy w bezwzględnem potwierdzeniu ich, czyli w potwierdzeniu życia. Tu każdy czyn rozbrzmiewa swą sławą i chwałą, bo już mroki wieczności śpiewały mu piosnki przy kolebce.

Strzegący Romy bóg wojny, Janus, dwie miał twarze — lecz komuż wiadomem, ile licowy jest bóg wojny nad wojnami, życie? Straszliwszą od posągu tajemniczej bogini w Sais jest maska życia. A jednak życie zawsze cenić należy, nawet w chwilach najboleśniejszych — mówił mistrz Leonardo, żegnając się na zawsze z uczniami swymi. Nim co dalsze od nas, nim niedostępniejsze, tym nam cenniejsze. Dziecko wyciąga uporczywie drobne rączyny za przedmiotami niedosiężnemi. Co mu bliskie znajome, traci dlań szybko urok, nudzi je. Czyż inaczej postępuje dojrzała myśl ludzka? Z rozkoszą gubi się w niedościgłem. Błędny ognik na moczarze, króciuteńki błysk gwiazdy spadającej na ciemnym firmamencie,

wprawia ją w potężne falowania i trawi głodem nie-
skończoności. Nie poznałem dotąd kobiety, z której
chciałbym mieć dzieci, chyba z ciebie, o wieczności, bo
ja ciebie kocham, o wieczności! — śpiewa Zaratustra.
A w cichych nocach, w których głośniej biją wszyst-
kie źródła, odbywają się ustawiczne zaślubiny Zara-
tustry z wiecznością. Śluby wciąż nowe, a nigdy nie
dokończone i nie dopełnione. Bo wieczność usta-
wicznie z ramion się wysuwa, wymyka się jak brze-
mienne owocami drzewa głodnemu Tantalowi i po-
zostawia jeno po sobie żar żądy niezaspokojonej
i tęsknotę.

Tajną oponą wieczności pokryta jest stulicowa
maska życia. Trzeba się skradać jak tygrys indyjski
w dżunglach, by najść na gorącym uczynku życie,
wstydlwsze od czystej Dianny i trwożliwsze od czar-
nookiej antylopy. A gdy się jest tuż przy przydybanym
z nienacka życiu, gdy się ma wykonać ostateczny
tryumfujący skok, wtedy życie nagle znika, jak zło-
śliwy chochlik w bajce. Zaś oczy, zmęczone i pod-
niecone wyteżonem patrzeniem, widzą jeno połyskli-
wą i lśniącą fantasmagorję, reflektującą urągliwie
uśmiechniętą — własną twarz. A jednak: ja ciebie ko-
cham, o wieczności! — śpiewa Zaratustra.

Kto raz pokochał wieczność, kto raz skosztował
czaru stulicowości i niedosiężności życia, ten z po-
tężnych szponów Sfinksa się nie wydobędzie. Bo
nie wolno wydzierać tajemnicy Sfinksovi. Pokusił
się o to Edyp, rozwiązał ją nadmierną nadludzką
mądrością, a wzamian wtrącili go bogowie w odmęty
okrucieństwa. Lecz nie zabrakło nigdy śmiałków,
których losy Edypa wprost podniecają. Podrwiwała
sobie z Zaratustry jego jedyna kochanka — a on się

od niej nie odwrócił, jeno tym silniej gwał i przeżył ją w swych potężnych ramionach. Tym więcej ją ukochał, i zapragnął ją posiadać w myślach i marzeniach swych nawet wówczas, gdy go jeszcze nie było i nawet wtedy, gdy go już nie będzie. I włożył sobie tedy z dumną urągliwą rozkoszą na palec swój ślubny pierścień pierścieni: pierścień wiecznego powrotu.

Więc jedynie potwierdzając życie, pokonuje się je. Każda prawdziwie wielka twórczość, idąca odedna duszy, ujarzmia je, zapanowuje nad niem i rozkoszuje się niem. Z takich związków rodzi się mądrość płasająca Zaratustry i wiedza słonecznego wesela. „Wszyscy nic nie wiemy“ — łka Żeromski w *Dziejach Grzechu*, a jednak właśnie tym zawzięciej i tym namiętniej zatapia zakrwawione palce w stulicowej masce życia, zdiera z niej zbitą oponę wieczności. Jest on wielkim synem niewytępalnego rodu Tytanów, którzy z Jowiszem staczają odwieczne boje. Olbrzymim młotem przodków, złowrogo postrzępionym walkami tysięcy lat, rąbie w granitowe niebo, gdzie mieszka Jowisz i wszyscy uśmiechnięci bogowie. Wali w owe sklepienie, które jak dach ołowiany mózgi gniecie, które jest niedostępne, bezlitosne i okrutne, jak kochana a niekochająca kobieta. A z pod tytanicznych jego uderzeń skry się sypią po przestworzach, a blask ich oczy nam ślepi i napęlnia nas zdumieniem i wzniosłą grozą.

Wówczas kurczy i krzywi się głupkowata maska życia pod tymi razami. Życie chowa się lękliwie po za swemi stu licami i po za swą patetyczną oponą, utkaną z wieczności, bo trwoży się, żeby ze szczytów wzniosłości nie runęło w nizinę śmieszności. Boć

podobno za tajemniczą zasłoną, kryjącą boginię w Sais było — puste nic.

Więc życie cenić należy, dopiero gdy się nim władnie, gdy się ma Tytanów potępieńczą moc i twarde ich hart rąbania z całych sił tam, gdzie z pyłu i mułu wieków porosły skorupy małodusznej i tchórzliwej czci dla życia i dla jego ah! tak wspaniałych czynów.

Żeromski obchodzi wkoło życia z odwagą lwa i przenikliwością lisa, bo zna swego przeciwnika i wie doskonale, że to przeciwnik nie tylko niezmiernie silny, lecz też niezwykle okrutny. Kto raz mu ulegnie, ten się już nie podniesie. Dlatego Żeromski śledzi i tropi okrucieństwa życia. Nie wzdryga się przed baczłą obserwacją najpotworniejszych męczarni. Widzi, że życie, gdy tylko może, nigdy nikogo nie oszczędza. I w tem bezwzględnem docieraniu do jądra rzeczy robi odkrycia niezwykle, wprost tak olśniewające, że zrazu jakoby nieprawdopodobne i niemożliwe. W swych mistrzowskich wędrówkach po krążgankach duszy napotyka nikczemność tuż obok wzniosłości, tajemne podświadome kojarzenie się niskości uczuć z porywami najszlachetniejszymi. Dlatego nie zna on litości nad swymi bohaterami. Bezwzględna szczerłość wielkiego artysty nie pozwala mu pominąć cech podłych w charakterach najdoskonalszych, gdy je tylko dostrzeże. Nie zapomina nigdy o tem, że człowiek jest zawsze tylko człowiekiem; że osobnikami najjednostajnym miotają również napięcia chwili; że może właśnie owe chwile, wypadające z ram określonych charakteru, przybliżają nam istotę człowieka więcej, rozjaśniają nam to, „czego wszyscy nie wiemy“ dosadniej, aniżeli cały dokładny

rejestr czynów, myśli i pragnień któremi się człowiek okweia w szarą dnia pospolitość.

Kuszenia św. Antoniego w jedną parną noc na Tebaidzie, rozdierają jednym krwawym błyskiem upiorne otchłanie udreki ciała i „zemsty arymanowej“. Białe i czarne łabędzie Bodzanty i krzyk duszy Ewy: ja zabiłam Szczerbica, ja zabiłam swe dziecko! wałą w gruzy cały Majdan, budowany latami z troskliwą energją, i zapalają w oczach „najpraktyczniejszego marzyciela“ potępieńczy błysk odedna duszy, który niweczy wszystko, co dotąd w nim było i wykreśla żelazne koleje tego, co odtąd w jego duszy będzie.

W najtajniejszych załamkach duszy, dostrzegalnych jeno Balzacom, Dostojewskim i Żeromskim, gnieźdzą się całe nieba i całe piekła. Zaś nudną bezowocną pustynią, pełną szematycznych grubych zygzaków jest biała karta duszy, po której bazgrze cała plejada tych, co wszystko wiedzą, wszystko rozstrzygnęli i dla których niema tajemnic.

Żeromski obsacza więc życie z wszystkich stron, a przeklinając je, upaja się niem. Brodzi w duszy ludzkiej i wywłóczy jej trzewia na światło dzienne. Bezlitośnie otwiera najboleśniejsze rany i broczy krwią serdeczną. Lecz krew ta nie krzepnie i nie plami, bo zmywają ją potoki gorących łez, płynących kojącym strumieniem z jego wszechmiłującego, najtkliwszego serca. Człowiek jest mu wprawdzie tylko człowiekiem, z całą właściwą sobie ohydą — lecz jądrem w człowieku jest mu niezwalczone dostojęństwo ludzkie, człowieczeństwo, dla którego ma najgłębszy szacunek. Boć cześć najwyższą budzi w nim świętego serca bicie.

Z ducha płynie dostojność. Duchem jest jądro rzeczy. Przędziwem ducha jest wszystko, co jest po za duchem. Jeno igraszką jego jest kosmiczna przyczynowość, w ramach której promienie księżycy są tylko promieniami księżycy, falowaniem eteru ściśle określonym, nudnym i jałowym, jak cały zegarkowaty kosmos. Rzekome „bębnienie“ eteru o siatkówkę oczną do wściekłości doprowadzało Schopenhauera, boć w chaosie ducha są promienie księżycy — „sonatą księżycową“.

W chaosie ducha ma każdy czyn, fakt, przebieg swój ton uczuciowy i swe ubarwienie uczuciowe. Duch bowiem przetapia wszystko, co weń promieniuje, na lzy bólu lub na „lazurowy uśmiech wesela“.

Każda najoderwańsza myśl, każdy proces logiczny pachnie tam niewytępalną wonią uczucia — boć smutkiem, może najgłębszym z wszystkich smutków, jest już prosta racja istnienia. Wszystko inne na tychże spoczywa fundamentach.

Wszystko co jest, jest więc ducha boleścią i ducha upojeniem. Szum brzoź mówi tęskną mową „poranków czekania“, a drzewko dzikiego migdału na Korsyce rozacza swe gałęzie ukojenia i odpuszczenia.

Żeromski ma ucho pytagorasowe, które słyszy wieczystą harmonję sfer, niedostępną innym, owe słodkie melodje, wygrywane przez gwiazdy i światy w swych rytmicznych obiegach. Melodja jest ci wszędzie rozsianą — wiatr grający w kamiennym kolosie Memnona na cześć Ozyrysa, kłócący się z pracownią Arachną w Grobie Atrydów, dźwięczy tą samą melodją, która w głębokich akordach się skarży w szumie oceanu, która rozbrzmiewa w duszy ludz-

kiej to krwawem, to radosnem szlochaniem. Zastuchany w tę pramelodję życia, nie potrafi, nie może Żeromski już jej nie słyszeć. Dźwięczy mu ona wszędzie, czegokolwiek się tknie jego arcykapłańska, pytagorasowa ręka. Harfą złotostrunną zawieszoną na wierzchołkach drzew jest jego dusza, dzwoniąca metalicznie, czy trąci w nią boginka leśna, czy też kamień, rzucony ręką przygodnego włóczęgi.

Jak tragedia urodziła się z ducha muzyki, tak twórczość Żeromskiego wypływa z najtajniejszych akordów duszy, która cicho, cichuteńko gra swe piosenki. Brzmia one zrazu bezbarwnie, oderwano, jak odgłos diapazonu-stroiku. Dopiero trafiając na swój właściwy rezonator, na duszę artysty, rozbrzmiewa cicha piosenka akordami siły i potęgi. Ze złotostrunej harfy płynie tedy pieśń smutku i pieśń wesela. Harfa gra sama sobie, ku swej większej chwale i radości, gra z najistotniejszej swej potrzeby. Ciche piosenki duszy czepiają się jej strun nieproszone i niepytane, czemu przybyły. Dość, że przybyły.

Harfa gra melodję świata, melodję życia — melodję bólu. Jej hymny wesela są tylko jak owa pieśń Spartańczyków pod Termopilami. Życie jest jedynie wówczas uwielbienia godne, gdy się nad niem zaplanowuje, gdy się z niego wyzwala, jak Leonidas i jego towarzysze z duszami pełnemi słońca. Świat jest głęboki, lecz głębszym jest jego ból, a ból tęskni do wieczności, chce wieczności — śpiewa pieśń Zaratustry — lecz śpiewa ona zarazem hymn wieczystego powrotu, hymn namiętnego potwierdzenia, hymn tych, którzy mówią zawsze i wszędzie: „tak“. Niechaj wraca po tysiączne razy świat z swą wieczystą tęsknicą bólu, niechaj wraca mój świat!

W słodkim cieniu drzewek oliwnych, kołysany szumem egejskiego morza, lśniącego się jak złota włócznia Ateny Promachos, mówił Sofokles do duszy swej: Najlepiej człowiekowi nie rodzić się wcale. Zeus nieśmiertelny zdruzgotał potężne plemię Tantalidów. Więc któż z nas mu się ostoi? Groza jest wszędzie. Dużo potężnych istot żyje, a najpotężniejszym jest człowiek. Więc groza tym większa. Dąb próchnieje i wali się, córy Nioby przeszywają strzały mściwego Apollina, węże jadowite kęsają Filokteta na odludnej wyspie. Groza bezmierna, ołowiana.

Lecz grozą żyć niepodobna. Na ratunek bieży wzniosłość grozy, jako przełamanie nieznośnego bólu bytu. Tragedje sofoklesowe opromieniają śmiertelne szczyty grozy kojącymi blaskami wzniosłości. Tragizm prawdziwy nie może być inny jak wzniosły. Boć inaczej byłby on tylko wściekłym w swej monotoni bólem klucia szpilkami. Tragizm musi walić obuchem, bo musi odurzać. Bez odurzenia byłby ponad siły ludzkie. Dlatego jedynie wielki tragizm koi. Ponosi on bowiem ponad klątwę bytu. Gromy jego wzniecają kojącą wzniosłość męczeństwa, rodzą bohaterstwo, pozwalającą płasnąć z bogiem Zaratustry nad przepaściami.

Tragiczną jest prosta racja istnienia ducha autonomicznego, bezprzyczynowego, chaotycznego, królewskiego, Króla-Ducha, w granitowym kosmosie. Dlatego też musiały być tragiczne losy Ewy Pobratyńskiej, pomazanej królewskością ducha, będącej dobrocią, pięknością i mądrością zaklętą w kształty kobiece. Była świadomą swego dostojęstwa, a musiała co krok odczuwać, że staje się zerem, rzeczą zbytętną i poniewieraną. Więc najsmutniejszym było

jej istnienie tutaj, gdzie bujność, tężyzna i granitowość prawideł przyczynowo-życiowych wymaga Pochroniów i Płazów-Spławskich.

Tragiczność Ewy wypływa więc z koniecznością z jej istoty zupełnie jak tragiczność króla Edypa, Antygony, Hamleta, Manfreda. Hamlet męczący się tak sobie, król Edyp nękanym ni stąd ni zowąd — stabilnym na pograniczu komizmu. Lecz tragedia Hamleta jest konieczną, bo druzgoce go (choćby) zbytnią refleksyjność i niezdolność do jakiegokolwiek czynu. Również król Edyp ugina się pod obuhami losu, bo ciąży na nim przekleństwo rodu Tantalidów. A ta konieczność tragizmu jest zarazem jego ideowem przewyciężeniem, nierozzerwalnie zczepionem z estetyczną wzniosłością.

Dzieło sztuki daje nam, według Schopenhauera, istotniejszy obraz świata, aniżeli system metafizyczny, bo odtwarza wolę kosmiczną bezpośrednio. Tyczy się to mianowicie muzyki. Sztuka ukazuje nam, czym jest świat, zaś filozofia tylko mówi o nim. W tej definicji zawarte jest zarazem, jak orzech w łupinie, jej ograniczenie. *Omnis determinatio est negatio* — powiedział Spinoza. Obojętnem jest, gdzie owe granice są położone, choćby się znajdowały nawet w wieczności. Świat jest jeden, więc i jego obraz może być tylko jeden, czyli że także sztuka musi być jedną. A osiąga to wtedy, gdy jest obiektywną.

Ponieważ jednakowoż obraz świata jest niezmierny i niezgłębiany, więc sztuka nie potrzebuje się obawiać żadnych ograniczeń tego rodzaju. Stulicową jest maska życia, więc stulicową jest maska sztuki,

a mimo to jedna. Więc nie świat wykreśla granice sztuce.

Za to wmurować należy jej słupy graniczne w duszę artysty. Artysta powinien być kapłanem, to jest sługą sztuki, a nie powinien narzucać się na jej pana i samowładcę. Wtedy sztuka nie poskąpi mu swych łask i pozwoli mu oglądać rzeczy niewidziane, i słyszeć niesłyszane. Artysta powinien więc dążyć do jaknajszerszej i jaknajgłębszej przedmiotowości.

Życie jest dość bogate, jarzy się tylu barwami i dźwięczy tylu tonami, że żadnej indywidualności twórczej nie przeoczy i nie poszkoduje. Szekspir powiedział chyba dość dużo, a nigdy nie wysunął siebie na pierwszy plan. Jak dyskretny i powściągliwy kapłan kierował tylko ofiarami na cześć sztuki! Filtrował świat cały przez serce swe i umysł swój — a nie obdzierał go przytem z właściwych mu barw i woni, by go przystroić swemi surogatami. Bo rdzeniem jego twórczości (jak każdej genialnej twórczości) był zmysł istotności, odczucie jądra rzeczy, poczucie przedmiotowości.

Dlatego twórczość jego graniczy z metafizyką. Ponieważ metafizyka jest także twórczością, choć innolicową, więc korzenie sztuki i metafizyki wyrastają z tego samego podłoża, są nierozzerwalne. Rozbiegają się one wprawdzie potem dzięki różnolitości temperamentów i indywidualności twórczych. Lecz na szczytach spotykają się znów i łączą się ze sobą. Ujście ich zrównywa się z ich wyjściem.

Dlatego też każda prawdziwa tragedia, będąca ściśle złączona z tragicznością bytu, jest w istocie swej absolutnie obiektywną. *Bo rzeczywiście obiekty-*

wizm i rzeczywista tragiczność warunkują i dopełniają się wzajemnie.

Tragedja Ewy Pobratyńskiej to prawdziwie sofoklesowy obraz grozy życia, lecz grozy opromienionej wzniosłością. Iście po szekspirowsku kipi ona pełnią życia i jest nieubłagana i nieodwołalną w swej konieczności, jak życie samo. A korzenie jej konieczności tkwią w najgłębszem podłożu, do jakiego wogóle umysł ludzki dotrzeć zdolny: w prostej a smutnej racji istnienia.







Biblioteka WSP Kielce



0154409